



## MARCIN GRYTA

### WSPOMNIENIA Z MAJDANKA

Było nas dwudziestu trzech. Ciasna piwniczna cela bez łóżek i sienników była naszym mieszkaniem. Śledztwo połączone ze strasznymi torturami (gestapo w Kraśniku) przeprowadzane było starannie. Sądów w tym czasie nie było, wyrok wymierzano na podstawie donosów lub przyznania się podczas badania. Co kilka dni wywożono za miasto i rozstrzeliwano, a co drugą sobotę wywożono do obozu koncentracyjnego na Majdanku.

Sobota. Jest piąta rano. W korytarzu robią przygotowania do drogi. Z bijącym sercem czekamy na wyczytywanie nazwisk. Dozorca więzienny czyta listę. W celach więźniowie odpowiadają krótko: – Jest! Tym razem los padł i na mnie. Wiem, co to jest Majdanek. Nerwowo robimy przygotowania do drogi. Czekamy już tylko na otwarcie drzwi. – Wychodzić! – woła dozorca. Manatki pod pachę, wychodzimy szybko i ustawiamy się dwójkami. Jeszcze raz sprawdzono listę, otoczono nas strażą dookoła i do samochodu. Samochód stał na ulicy. Przechodzący ludzie patrzyli na nas ciekawie, jakaś kobieta ukryta w bramie domu płacze. Potrąceni kolbami karabinów siadamy na samochód i ruszamy w drogę na Majdanek.

Na Majdanku samochód zatrzymał się przed długim i szerokim drewnianym budynkiem. – Wysiadać! – krzyknął na nas komendant eskorty. Za pokwitowaniem oddał nas jakiemuś Niemcowi z trupa czaszką na czapce i odjechał. Ubranie, bieliznę i buty złożyliśmy na jeden stos w magazynie, a sami nago, z podniesionymi do góry rękami – do łaźni.

Po kąpieli wydano nam nędzne łachy jako ubranie i drewniane buty. W kancelarii obozowej wpisano nas dokładnie do ewidencji, wydano blaszane numerki i kazano je sobie zawiesić na szyi, tak jak medalik. Porozdzielano nas na pola i rozprowadzono po blokach.

Samo słowo Majdanek jest to coś bardzo strasznego, potwornego. Majdanek w całym tego słowa znaczeniu jest odzwierciedleniem duszy narodu niemieckiego. Naród niemiecki ze wszystkimi swoimi metodami wyniszczania innych narodów przewyższył wszelkie dotychczas znane sposoby starożytnych, jako też i średniowiecznych, tortur stosowanych

przez najdziksze narody, zamieszkujące wszystkie części świata. Każdy Niemiec miał swój sposób i swoje metody mordowania ludzi.

Majdanek jest wybudowany na południowy wschód od Lublina, a oddalony od niego zaledwie trzy kilometry. Łagodne wzgórza panujące nad okolicą, cztery kilometry długie, a trzy kilometry szerokie, całe ogrodzone drutem kolczastym, stały się golgotą milionów ludzi, więzionych przez siepaczy niemieckich tylko za to, że nie byli Niemcami.

Prawo hitlerowskie kazało im mordować naród zamieszkujący ziemie polskie jako niepotrzebny balast, żeby w ten sposób stworzyć sobie przestrzeń życiową. Z całą bezwzględnością i surowością przeprowadzali to, starając się w ten sposób nakaz Hitlera w najdrobniejszych szczegółach wprowadzić w życie, a przez to osiągnąć główny cel obecnej wojny, rozpętanej przez partię hitlerowską. Niemieckie metody tworzenia sobie przestrzeni życiowej przez wyrzynanie w pień całej ludności miast i wsi polskich nie jest nowe, bo jeszcze w zaraniu naszej historii było to bardzo dobrze znane.

Dlaczego dzisiaj ludność Gdańska jest przeważnie niemiecka, a język niemiecki słyszy się w domach i na ulicach? Czy może założyli i wybudowali go Niemcy? Nie! Pierwotni mieszkańcy Gdańska, Pomorza, Warmii i Mazur to byli wyłącznie Polacy. Niemcy, korzystając z wewnętrznej niezgody książąt polskich, mordowali polską ludność Gdańska, Pomorza i Warmii, a później nasłali swoich kolonistów i osiedlili ich na tym terenie. W ten sposób ziemie rdzennie polskie stały się niemieckimi. Tak robili dawniej, tak robią i dzisiaj. Ileż to razy Hitler w swych mowach dumnie podkreślał, że Niemcy nigdy wojny nie przegrają, bo na każdego zabitego Niemca wypada aż pięciu zabitych z narodów prowadzących z nimi wojnę.

Wracajmy jednak do rzeczy, to jest do opisywania warunków życia na tym sławnym Majdanku. Jak już wiadomo, cały teren Majdanka był ogrodzony drutem kolczastym i gęsto obstawiony wojskiem. Wewnątrz tego ogrodzonego placu był duży kwadrat 1200 metrów długi, a 400 szeroki, podzielony na pięć równych pól. Cały ten kwadrat dookoła, jak też i granica pól, był trzykrotnie ogrodzony drutem kolczastym, pod napięciem. Ten kwadrat podzielony na pola nazywał się „teren ścisły”.

Teren ścisły był przeznaczony na umieszczenie więźniów w wybudowanych w tym celu blokach. Bloki były budowane z desek, bez sufitu, pełne dziur i różnych szpar, tak że w czasie

zadymek śnieżnych tymi szparami wiatr wiał do wnętrza. Teren ścisły był jeszcze bardziej strzeżony jak teren zewnętrzny.

Jak już powiedziałem, druty ogradzające teren ścisły i druty odgradzające poszczególne pola były naelektryzowane. Oprócz tego na wprost granicy każdego pola tak po jednej, jak też po drugiej stronie, stały wysokie wieże wartownicze. Na wieżach stała stale warta z ciężkimi karabinami maszynowymi, których lufy były skierowane na teren ścisły.

Na terenie zewnętrznym wybudowano całą masę budynków przeznaczonych na biura, koszary dla wojska, różne warsztaty obozowe, magazyny, łaźnię i gaskamerę.

Więźniowie Majdanka z terenu całej Polski, nawet podług niemieckiego prawa wojennego ogłoszonego przy wejściu Niemców, nie byli osadzani za jakiegokolwiek winy własne.

Byli to ludzie aresztowani na podstawie jakichś wydarzeń politycznych na danym terenie. Aresztowano ich celem wystraszenia innych. Bardzo duży procent pochodził z obław i łapanek. Cel był jeden: wyniszczenie narodu polskiego w jak największym stopniu.

Wyobraźmy sobie, że jeżeli ktoś miał choćby najmniejszy ślad albo choćby tylko małą iskierkę przypuszczalnej winy, oddawano go pod sąd specjalny, a ten zwykle skazywał na karę śmierci przez rozstrzelanie. Najwięcej więźniów było wcale nie badanych, ani nie powiedziano im, za co są tu osadzeni.

Największy procent stanowiła inteligencja. Poczynając od profesorów, przez doktorów, adwokatów, chemików, a kończąc na aktywnych chłopach i robotnikach. Najmniej było księży. Nie wiem dlaczego, ale inteligencja (może dlatego, że była mniej zahartowana warunkami życia) prędzej się łamała jak chłopci i robotnicy. Przyczyn w traktowaniu nie dopatruję się, ponieważ wszystkich traktowano jednako.

Kto tylko załamał się duchowo, za kilka dni był już w obłokach w postaci dymu z komina krematorium, a na ziemi pozostał po nim tylko popiół.

Wszyscy więźniowie bezwarunkowo musieli ciężko pracować. Roboty było tak dużo, że człowiek nieobeznany z tymi warunkami nie wyobrażał sobie nawet, że tak wiele robót, a do tego tak ciężkich, może być w obozie. Nadmienić wypada, że oprócz robót na terenie ścisłym więźniowie pracowali w sąsiednim majątku ziemskim przydzielonym do obozu, a znajdującym się poza jego obrębem. Pracowano na terenach zewnętrznych obozu,

to jest już w ogrodzeniu, ale nie na terenie ścisłym. Kopano ziemię, sadzono kartofle, kapustę itp. Poza tym były różne warsztaty, jak szewski, krawiecki, stolarski itp. Jeżeli któremu rzemieślnikowi udało się dostać do roboty w swoim fachu (do warsztatu) czuł się bardzo szczęśliwy. Pozostali rzemieślnicy, inteligencja, chłopci, robotnicy byli jako siła niewykwalifikowana, wykorzystywani do robót najcięższych.

Przy końcu zimy 1942/43 rok na Majdanku rozpoczęto budowę dróg bitych i jednocześnie skopywano pagórki, a tę ziemię zbierano do trag (nosiłki) i noszono tam, gdzie było niżej. Na pozór jest to robota zupełnie niewinna. Zdaje się, że przecież i na wolności ludzie to robią, a nic im się nie stanie. Tak jest, i na wolności ludzie tak pracują.

Na Majdanku tak zimą, jak też i latem wstawaliśmy bardzo rano. Pierwsze promienie słońca witały nas już przy robocie, która trwała do dwunastej w południe. Od pierwszej po obiedzie do zachodu słońca byliśmy znów w robocie. Od pobudki do położenia się spać było osiemnaście albo dwadzieścia godzin. Wyprostować grzbiet choćby na chwilę lub usiąść na sekundę – można było przypłacić życiem. Do tego tragi wyładowane ziemią lub kamieniem trzeba było nosić biegiem. Po dwu lub trzech dniach takiej roboty puchły nogi. Człowiek stawał się niezdolny do roboty. Wtedy bito go, mówiąc, że nie chce pracować. Bito tak długo, aż został zabity.

Oprócz robót wyżej wymienionych, wysyłano jeszcze na roboty do miasta i na stację kolejową do ładowania wagonów. Żeby usprawnić organizację pracy, organizowano grupy robocze i powierzano je starszemu robotnikowi naznaczonemu z więźniów, a zwanemu kapo, którego obowiązkiem było dopilnowanie roboty tak, aby ona szła sprawnie i szybko.

W lipcu 1943 roku na Majdanek przywieziono z Niemiec niebezpiecznych niemieckich przestępców kryminalnych, przeznaczonych specjalnie na dozorców przy robotach. Tym to właśnie sadystom spod ciemnej gwiazdy powiedziano, że mają możliwość przez dobre dozоровanie na robotach karę swoją zmniejszyć, a nawet za specjalne zasługi będą zwalniani do domu. Staranie się ich było widoczne zaraz. Starali się bardzo, nawet można powiedzieć, że za bardzo. Oni od czasu do czasu byli zwalniani do domu, a biedni więźniowie – do piachu. Staranie się ich polegało na tym, że na robotę brali ze sobą kije grube jak ręka i po kolei bili więźniów tak bardzo, że jak grupy robocze wracały z roboty w południe na obiad, albo wieczorem na apel, to każda miała kilku zabitych i kilku z poprzetrącanymi krzyżami, których obowiązkiem było do rana umrzeć. Ci dozorczy

sadyści byli bardzo gorliwi w zabijaniu więźniów. Popisywali się przed swoimi kolegami, że ten może więcej zabić od tamtego.

Śmiertelność na Majdanku wzrosła bardzo, nawet transporty, które stale przychodziły, nie mogły zrównoważyć wzrostu śmiertelności spowodowanego zabijaniem niewinnych ofiar.

Na każdym polu były 24 bloki, razem z kuchnią i magazynem. Każde pole, jak wyżej powiedziałem, było ogrodzone drutem kolczastym pod napięciem, do tego mocno strzeżone przez wojsko. Na polach administrację prowadzili więźniowie, zaś Niemcy wojskowi stali na stanowiskach naczelnych. W każdym bloku był blokowy, sekretarz i tak zwany sztuben, to jest taki, co wydawał chleb, obiady, śniadania, kolacje i na rozkaz blokowego bił lub zabijał.

Do blokowego należało utrzymanie porządku na bloku, wystawienie ludzi na apel i meldowanie o stanie bloku. Był jednocześnie szpiclem, który donosił o każdej rzeczy władzom obozowym. Dalej, blokowy był sędzią i katem dla każdego więźnia należącego do jego bloku. Byli wprawdzie blokowi zacni i uczciwi, którzy bronili – o ile mogli – od kar i śmierci swych współtowarzyszy, ale takich było mało. Najwięcej było łotrów i zbirów, prawdopodobnie wykolejonych już w obozach niemieckich.

Do takich wykolejenców zaliczyć mogę z trzeciego pola „Zygmunta” „Janusza” i „Fedra”. Na czwartym polu prym prowadził zboczeniec „Wojtek” i Kowalski. Jeżeli byli więźniowie majdankowi znają ich nazwiska, to obowiązkiem ich jest wskazać je władzom bezpieczeństwa, ażeby ich pociągnięto do odpowiedzialności za mordowanie Polaków w obozie na Majdanku.

Co pewien czas Niemcy robili rewizje na blokach i osobiste każdego więźnia. Czego szukali, nie wiem, zabierali zaś wszystko; scyzoryki, łyżki, nici, guziki, cukier i sól. Jednym słowem wszystko. Po takiej rewizji byliśmy bardzo biedni. Proszę sobie wyobrazić jedzenie bez łyżek. Jedliśmy jak nie-ludzie. Co można było wypić, wypijano, gęste popychano patykiem lub palcem do ust.

Mimo stosowania różnych metod dokuczania nam, silniejsi podtrzymywali ducha słabszych, pomagając w przetrwaniu. W tym to czasie kolegowałem ze Stefanem Cholewińskim z Lublina. Na Majdanku, jeżeli ktoś nie miał przyjaciela, to przy pierwszym wypadku czy podpadnięciu – ginął. Ten właśnie Cholewiński podupał na zdrowiu. Nie mógł już chodzić na robotę, a bał się, żeby nie wiadano, że jest chory. Na robotę prowadziłem go pod pachę,

robiłem za niego i za siebie. Nosilem mu wodę. W nocy okrywałem. Pocieszałem. Robiłem wszystko to, co uważałem, że mu pomoże. I pomogło. Może da Bóg, że wróci z Niemiec (poszedł na transport) i spotkamy się w Lublinie albo po wojnie odnajdę jego rodzinę, która mieszkała na ulicy Królewskiej 1, to opowiem im o jego przeżyciach. Stefanie! Przyjacielu mój! Żyj i wracaj zdrów do żony i dzieci. Wracaj do matki staruszki, o której opowiadałeś mi całe wieczory.

Jak tylko przekroczyłem bramy trzeciego pola, pierwszym moim przełożonym na robocie był inżynier Zelent z Warszawy. Jego serdecznym przyjacielem był Boniecki, artysta rzeźbiarz. Anioły. Powiadam, anioły w piekle! Zelent jako kierownik grupy roboczej kamieniarzy, brukarzy, betoniarzy i wszelkich robót ziemnych, na trzecim polu tak umiał prowadzić robotę i uzgodnić ją z zarządem obozu, że w czasie, gdy u niego pracowałem, tylko jeden raz popadł pod baty. Ludzie, których on był przełożonym, też bardzo mało popadali. Tak Boniecki, jak Zelent pocieszali każdego, podnosili na duchu i wzywali do przetrwania, twierdząc, że to niedługo się już skończy. W głowach tych dwóch ludzi powstała myśl wybudowania pomnika na trzecim polu. Boniecki mówi do mnie: – Słuchajcie Gryta, jeżeli uda nam się ta myśl, pomnik pozostanie wieczną pamiątką barbarzyństwa niemieckiego. Niemieckim władzom obozowym gotowy projekt budowy pomnika przedłożył inżynier Zelent, motywując to tym, że pomnik na wzniesieniu trzeciego pola, umieszczony na rabacie wykonanej przez Kwiatkowskiego, będzie piękną ozdobą pola. (Zaznaczam, że i projekt rabaty był również razem przedkładany). Po długich rozmowach i targach – projekt zatwierdzono bez żadnych poprawek i zezwolono na budowę. Zaraz na drugi dzień zaczęliśmy robić przygotowania. Betonową podstawę powierzono mnie. Zelent wybrał jeszcze czterech morowych chłopów, dodając mi [ich] do pomocy powiedział: – Budujcie, chłopcy. Dla Niemców będzie upiększeniem pola, dla Polaków, ofiar niemieckiego terroru i dla wszystkich narodów pomordowanych na Majdanku – pozostanie pomnikiem po wieczne czasy. Tym bardziej, że będzie wybudowany rękoma straceńców. Inżynier Zelent nakreślił szpadlem na ziemi koło i uroczystym głosem powiedział: – Tu! – łzy zakręciły się w oczach.

Pierwszy sztych i odrzucenie pierwszej łopaty ziemi z dołu pod fundament na pomnik, wypadł na mnie. Chciałbym na wieczną pamiątkę wymienić nazwiska pozostałych czterech moich pomocników przy budowie betonowej podstawy pod pomnik. Z bólem serca stwierdzam, że nie pamiętam. Pod osobistym kierownictwem inżyniera Zelenta ja robiłem, inaczej: my robiliśmy betonową podstawę, Luba obrabiał kolumnę, a artysta

rzeźbiarz Boniecki głowicę. (Na głowicy były cztery gołębie [trzy orły] rwące się do lotu). Tak wspólnymi siłami zbudowaliśmy pomnik na trzecim polu na Majdanku. Budowa pomnika tak Niemcom przypadła do gustu, że nakazali budowę pomników na kilku polach, co oczywiście zrobiono. Prawo pierwszeństwa pozostaje jednak przy inżynierze Zelencie i artyście Bonieckim.

Od towarzyszy mojej niedoli dowiedziałem się, że w tej grupie roboczej, do której oni należą, jest jedno miejsce wolne. – Chodź do nas – mówi do mnie jakiś szczupły mężczyzna – masz blisko do domu, będziesz się mógł widzieć z żoną, bo robimy koło szosy, tej co idzie na Piaski Luterskie, ale u nas płaci się dziennie 5 zł za to, że się tu robi.

Nie namyślając się długo, zgodziłem się na to. Sprzedałem pajdkę chleba za 20 zł, zapłaciłem podatek za cztery dni z góry i rano już robiłem w nowej grupie roboczej. Mimo że tego dnia byłem bardzo głodny, bo swoją porcję chleba sprzedałem na podatek roboczy, byłem bardzo zadowolony. Niecałe 100 metrów od szosy równaliśmy ziemię koło budynków przygotowanych dla wojska. Widok na szosę był wspaniały. Cały dzień widzieliśmy wolnych ludzi, jak przechodzili w jedną i drugą stronę. Dozorcą tej grupy roboczej był śp. Mieczysław Bockowski. Uczciwy i solidny, wielki patriota, Polak pełnowartościowy. Na drugi dzień mówi do mnie: – Mówią, że blisko Lublina jest wasz dom, ja wam ułatwię wysyłanie listów do domu. – Dobrze – odpowiedziałem. Nazajutrz rano przychodzi do mnie Sylwester Budzyński, młynarz z Trzydnika (pow. Janów Lubelski) i powiada: – Pisz pan list, mój dziadek weźmie (cywilny robotnik, który pracował w obozie). Lucjan Bieńko z Warszawy (zam. Płocka 46) dał mi papier z worka po cementzie, a Andrzej Janecki z Warszawy – ołówek i za pół godziny mój pierwszy list do żony był już w drodze do Zakrzówka.

Chciałem w pierwszym rzędzie zapoznać się ze swymi współtowarzyszami. W tej grupie roboczej razem z dozorcą pracowało nas pięćdziesięciu. Towarzystwo było bardzo dobre i solidne. Pracowali: adwokat Władysław Zagórski, inżynierowie Józef Korbutiak i Michał Walentynowicz z Warszawy (ul. Paca), kupiec Obara, student uniwersytetu wileńskiego, bardzo miły i przez wszystkich kochany Miecio Borowski. Bardzo chętnie wymieniałbym i innych, niestety nazwisk nie pamiętam.

List wysłałem w piątek, a we wtorek już żona przyjechała. Pamiętam: stoję i udaję, że poprawiam trzonek od łopaty. Między kobietami, które szły szosą, mignęła postać z ruchów mi znana. Czyżby żona? Łapię się za taczkę, jadę bliżej szosy po kamień. Kobieta wraca.



Patrzę – żona. Boże! Serce mi bije młotem. Moja żona, najlepszy przyjaciel mój. Lekko skinąłem głową na znak powitania. Obejrzałem się dookoła. Można. Korzystam z okazji. Mówię: – Jestem zdrow. Czterdziestometrowe oddalenie nie pozwala jej tego słyszeć. Lekko skinęła głową, uśmiechnęła się do mnie i poszła. Długo za nią patrzyłem. Stanęła za drzewem, myśląc widocznie, że ja już nie widzę. Długo stała i płakała.

Najwięcej paliła mnie niepewność o synów. Nie wiedziałem, czy Niemcy i ich zdołali zabrać. Upłynęły dwa dni i znów jest żona. Tym razem muszę się już dowiedzieć. Znów taczka pod druty i czekam. Schyliłem się, niby to kładę kamień. Idzie żona. – Felciu, czy dzieci wolne? Wartownik Litwin nie daje mówić. Moja żona kiwnęła głową na znak, że wolne. Uspokoiła mnie ta wiadomość. Nowe siły wstąpiły we mnie. Taczka zrobiła się lekka. Robota szła mi dobrze. Świat przybrał nową całkiem barwę. Co się wtedy działo ze mną, może wiedzieć tylko ten, co podobne rzeczy przeżywał. Odtąd w każdy wtorek przychodziła odwiedzić mnie. Odwiedziny trwały aż do późnej jesieni. W połowie listopada przerzucono mnie gdzieś indziej na robotę i widzenia nasze skończyły się. Widziałem raz jeszcze, jak chodziła szosą w jedną i drugą stronę, ale dojść tam nie mogłem.

W 1943 roku na Majdanku w ogóle, a na trzecim polu w szczególności, gdy grupy robocze wracały z pracy, czy pracowały dobrze – oceniano za pomocą pobitych i zabitych więźniów w danej grupie. Jeżeli jakaś grupa wracała bez zabitych i bez pobitych, to był już dowód, że dozorca źle pilnował przy robocie. Po apelu wzywano go pod kancelarię, wynoszono specjalnie na ten cel zrobiony stołek, kładziono go i bito pejcami. Najmniej dostawał 25 uderzeń. Niemcy więźniowie jako dozorczy zasadniczo pod baty nie podpadali, ponieważ tak się starali, że jeszcze dostawali nagrody.

Dozorcą grupy, w której ja pracowałem, był wyżej wymieniony Mieczysław Boćkowski. Ile razy podpadł, nigdy na nas nie odbijał. Po takim biciu robił się jeszcze więcej zacięty. Kilka razy mówił do nas: – Zabiją to tylko mnie, a wy będziecie żyć i zdacie świadectwo przed światem, że Niemcy to najwięksi zbrodniarze świata. W pierwsze dni listopada 1943 roku zmarł on na tyfus plamisty. Żona jego, którą widziałem, jak z nim z daleka rozmawiała, niech wie, że pamięć o nim wśród nas pozostanie na zawsze.

Co dzień po wieczornym apelu wzywano pod kancelarię całe masy biednych więźniów, ustawiano ich w kolejce i w ten sposób przygotowywano do bicia. Stali ci ludzie, drżeli jak liście, czekając na swoją kolejkę. Bito ich specjalnie w tym celu robionymi batami. Stawało



kilku drabów niemieckich z pozawijanymi rękawami, starając się jeden przez drugiego, ażeby jego uderzenie było silniejsze.

W jednym z transportów warszawskich przywieziono dużo inteligencji, którą starali się Niemcy jak najprędzej zniszczyć. Przypominam sobie z tego transportu doktora Flancmana, który swoją żonę i dzieci pozostawił w Warszawie na ul. Franciszkańskiej 11a u Antoniego Jabłońskiego. Prosił mnie o to, żebym list od niego znanymi drogami posłał jego żonie. Wysłałem, na dowód czego otrzymał z domu paczkę. Nie mogli się doczekać Niemcy na jego śmierć, więc na jesieni 1943 zamordowali go przez rozstrzelanie.

Na robotę i z roboty chodziliśmy piątkami. W piątce, w której chodziłem, po prawej miałem Korbutiaka, a po lewej stronie Lucjana Bieńkę. Opowiadał mi Korbutiak, że był aresztowany na ulicy w Warszawie z panią, z którą pracował w jednej komórce partyjnej. Nazwiska jej nie pamiętam, na imię miała Helena. Mówi do mnie: – Kocham tę dziewczynę za to, że była jak ze stali. W alei Szucha wszystkie próby (bicie przy badaniu na gestapo) wytrzymała. Pokazał mi ją. Była bardzo miła. Pracowała w kobiecym warsztacie krawieckim. Tak na robotę, jak też i z roboty przechodziliśmy koło okien tego właśnie warsztatu. Zawsze stała w lekko uchylonym oknie i miłym uśmiechem witała go. Jak upewnili się, że nie ma Niemców albo Niemek, to zamienili ze sobą kilka słów. Na podanie sobie ręki okazji nigdy nie mieli.

Było to latem, kwitły już bławaty i dziki rumian. Korbutiak jakoś był od samego rana bardzo uroczyście nastawiony. Patrząc: chodzi po terenie, zbiera bławaty, rumian, kłosa żyta układa w pęczek, przybiera listkami babki, starannie owiazuje cienkim drutem znalezionym w rowie i chowa za pazuchę, pod koszulę. – Na co? to – pytam się. – Dzisiaj moja kochana Helunia obchodzi urodziny, to dla niej. Wiem, że największy kłopot będzie miał z podaniem tego bukietu. Idziemy z roboty na obiad, ona jak zwykle stoi w półotwartym oknie. Mrugnął, żeby szerzej otworzyła. Pojęła to w lot. Zza pazuchy, od serca pęczek bławatów, rumianu i kłosów kwitnącego żyta przybrany listkami babki świsnął w powietrzu i znalazł się w rękach jego Heluni.

Cichy i serdeczny romans majdankowy. Kilka razy obejrzałem się jeszcze, widziałem ją. Stała w oknie, ścisnęła i całowała prezent urodzinowy od swego towarzysza niedoli.

Chłodny i głodny koniec zimy 1943 roku był dla nas, więźniów okrutny. Śnieg padał, wiatr zimny wiał mocno. W marynarkach, bez swetrów i grubszego okrycia, staliśmy godzinami

na apelu. Całe dni głodni byliśmy w pracy. Choroby mocno przerzedzały nasze szeregi. Pomocy żadnej znikąd. Listów od nas ani do nas nie dopuszczano. O jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz nie było mowy. W tym to ciężkim czasie zaprzyjaźniłem się ze starym Pakowem z Lublina (Bychawska). – Żebyśmy mieli papierosy – mówi do mnie Pakow – to moglibyśmy organizować i piec kartofle. – Dobrze – powiedziałem – już się robi.

Nowo przybyłym sprzedawałem marmoladę za trzy papierosy. Rano, jak tylko zrobiono pobudkę, zorganizowałem czapkę kartofli. Żeby na bramie nie było znać w kieszeniach, połowę do przeniesienia dałem współnikowi.

Udało się, przenieśliśmy. Na robocie Pakow nabił kartofle na drut, wziął papierosy i gdzieś poszedł. Po upływie godziny przynosi już upieczone. Liczę, jest dwadzieścia. Gdzie jeszcze dwa? – Za upieczenie dałem dwa kartofle i dwa papierosy – odpowiada. Powtarzaliśmy to kilka dni, aż Pakow został złapany. Stracił kartofle, do tego jeszcze został pobity. Na drugi dzień wziąłem kartofle pod marynarkę i poszedłem sam. Ognisko odnalazłem. Smolarze podgrzewali smołę i oni to właśnie za odpowiednim okupem pozwalali upiec.

Papierosy dałem na wstępie, kartofle po upieczeniu. Reszta pod marynarkę i do swoich. Nim doszedłem do swojej grupy roboczej, marynarka zapaliła się na mnie i cały bok został wypalony. Poznali się po tym, że niby to do ustępu, a chodziliśmy gdzie indziej. Do tego wydały się i kartofle. Tak przyłapali nas i z kartoflami kłapa.

Jak już powiedziałem, koniec zimy był głodny i chłodny. Mało tego, bo jeszcze i strasznie brudny. Nie wszystkie bloki miały łóżka, sienniki i koce. Tam, gdzie nie było jeszcze sienników, ludzie spali na podłodze. W tych warunkach sanitarnych i aprowizacyjnych rozpoczęły panowanie tyfus plamisty i biegunka obozowa. Mówię obozowa, bo tak ją powszechnie nazywano, ponieważ o takiej chorobie nikt z nas nigdy nie słyszał. Nawet starzy lekarze twierdzili, że tej choroby nie znają. Doktor Gabryjel mówił, że 90 procent więźniów na nią zapada, a 56 procent z tego umiera.

O rozmiarach [epidemii] tyfusu plamistego można powiedzieć, że było to coś strasznego. Opowiem historię jednego bloku, który miał lepsze warunki pościelowe i higieniczne, a jednak tyfus panował w nim w zastraszający sposób. Pierwsze wypadki choroby zastały na bloku 112 ludzi. Gdy nastąpił szczyt zachorowań, zdrowych pozostało tylko szesnastu. Przyszły nowe transporty, a tym samym nowe ofiary tyfusu i biegunki. Władze obozowe

z nowych transportów przydzielili do tego bloku 194 ludzi, tak że nowy stan wynosił 210 osób. W tę samą pościel, w te same wszy, bez żadnej dezynfekcji, choćby trzepania koców – wprowadzono ich na blok. Znow tyfus zrobił swoje. W bardzo krótkim czasie pozostało nas tylko 42. Tak powtórzyli kilka razy, aż tyfus się zlitował i sam przestał zabierać ofiary. Biegunka pozostała i robiła swoje. Przed wybuchem [epidemii] tyfusu było na polach dużo, nawet bardzo dużo ludzi. A gdy ustąpiła, na polach pozostało bardzo niewiele.

Chęć przeżycia w obozie była bardzo wielka. Wpadano na rozmaite pomysły, jak zdobyć większą porcję pożywienia. Pamiętam, jak wydawano kartofle gotowane po dwa, a czasem po trzy na jednego człowieka. Zjadano je z łupinami. Ja wypatrzyłem, że kucharze i inni robotnicy z kuchni obierki wyrzucają na wóz. Było jeszcze ciemno, podkradłem się pod nie i zacząłem w obierkach szukać kartofli (kartofle i obierki były gotowane). Cichutko podeszło jeszcze dwóch Rosjan. Rzucili się na obierki jak zgłodniałe psy. Nie wybierali kartofli, ale brali to, co było na wierzchu. Pchali do ust i kieszeni. Zobaczyli nas i odpędzili. Obierki z gotowanych kartofli stały się dla nas niedostępne.

Dni leniwie mijały. Kwiecień wchodził już w drugą dekadę. Nie wiedzieliśmy ani jaki jest dzień tygodnia, ani który miesiąca. Instynktownie czuliśmy, że zbliża się Wielkanoc. Święta Wielkanocne tego roku wypadły 25 kwietnia. Ciekawi byliśmy, czy będą robić jakiegokolwiek przygotowania w tym kierunku. Jednak nic, ale to absolutnie nic.

W Wielką Niedzielę nie dostaliśmy śniadania. Powiedziano nam, że zabrakło wody na kawę. Od ósmej rano do obiadu nosiliśmy łóżka na blok 21. (Przygotowywaliśmy go dla transportu ze Lwowa). Dzwonek i już nareszcie obiad. Jak zwykle wszyscy na dwór. Stanęliśmy z miskami w rzędzie. Każdy podchodził do kotła i dostawał swoją porcję zupy. Tym razem była kartoflanka. Budzyński nie wiem skąd wziął dwa jajka ugotowane. Zaprosił nas chyba ze dwudziestu do swojego łóżka. Pokroił na małe kawałeczki i zaczynamy sobie życzyć, ażeby na drugi rok już było po wojnie, a my w domu przy swoich rodzinach i w lepszych warunkach. Łzy każdemu kręciły się w oczach. Długo całowaliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą, aż przyszedł starszy dozorca Heniek i nasze nastroje pierzchnęły od razu. Kazał nam zrobić zbiórkę i robił przegląd. Co kilka kroków zatrzymywał się i jednego wyciągał do przodu. Wybrał dziesięciu, zawołał sztubena z pejczem i zaczął bić tych wybranych. Pomiędzy bitymi był Władysław Mazur z Dzierzkowic (pow. Janów Lubelski). Tak nam przeszła Wielkanoc w obozie niemieckim na Majdanku w roku 1943.

W jednym z budynków, koło których pracowaliśmy, był umieszczony szpital dla żołnierzy niemieckich pełniących służbę na Majdanku. W szpitalu pracowały dwie dziewczyny z więźniarek jako posługaczki. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w takim szpitalu powinno zostawać jedzenie, którego nie mogą skosztować chorzy. Chcąc się przypodobać tym dziewczynom, nosiliśmy im wodę, pomagali przy myciu podłogi itp. Bieńko, czując, że może cośkolwiek zorganizować dla siebie od tych dziewczyn, całe dni nie odchodził od wejścia do szpitala, niby to zbierał śmiecie, to zamiatał – ale stale był tam, gdzie był dobry widok na drzwi. Dziewczyny od czasu do czasu, jak im co zostawało, dawały nam.

Pamiętam, raz wypatrzyły, że nikt ich nie widzi, a miały zapasowe skórki z chleba, chciały nam je podać. Jedna z nich otworzyła okno i bardzo sprytnie te skórki wyrzuciła. Skórki wpadły w błoto. Nasi chłopcy, jak to zobaczyli, rzucili się na zdobycz jak wilki. Błoto razem ze skórkami znikło. Najwięcej zdobył Miecio Borowski i Andrzejek z Warszawy. Choć były powalane w błocie, smakowały nam bardzo.

W maju władze obozowe wydały rozporządzenie nakazujące oddanie do magazynu czapek, marynarek i butów. Zapomniałem powiedzieć, że na Majdanku znów zaroilo się od ludzi. Przybyły duże transporty z całej Polski: ze Lwowa, Białegostoku, Zamościa, Chełma, Łomży, Radomia, z Zamku lubelskiego, a największy z Warszawy. Ludzie przeważnie byli jeszcze zdrowi i silni, więc i śmiertelność była mała. Dla podniesienia śmiertelności wydano wyżej wspomniane zarządzenie. Jednocześnie zakazano używania wody do mycia, picia i prania bielizny, oprócz tego przez trzy miesiące nie dawano zmiany bielizny.

Miałem wtedy koszulę w paski. Na każdym pasku była podarta, więc na sobie miałem tylko paski. Jeden z elektryków dał mi cienkiego drutu na reperację. Luźno zwisające paski, trzymające się tylko na kołnierzu, zdrutowałem i tak chodziłem.

Chłodne wiatry powiały od zachodu. Zrobiło się zimno. Żołnierze chodzili w swetrach, bluzach i płaszczach. Ludzie na wolności ubierali się w kożuchy, a my biedacy w podartych koszulach drżeliśmy od zimna. Cel został osiągnięty. Śmiertelność podniosła się bardzo. Większa połowa dostała zapalenia płuc. Wyzdrowiało bardzo niewiele, reszta poszła do krematorium na popiół używany przez Niemców jako nawóz do posypywania w ogrodach majdankowych pod wszystkie warzywa. Popiołu z ciał ludzkich było tak dużo, że pakowano go do worków i wywożono do Niemiec.

Rozpanoszyły się wszy i pchły do niespotykanych ilości, były ich całe roje. Nieprzeliczone masy. Z tego znów tyfus plamisty, brzuszný, biegunka obozowa i masowe mordowanie przy pracy, które powodowało opuchliznę nóg równającą się śmierci. Kobiety wolnościowe widząc nas prawie że nagich w takie zimno, poza tym obciążonych tragami, upadających pod ciężarem trag, bitych niemiłosiernie – mdlały. W tym czasie ludzie omijali tę drogę, aby nie patrzeć na nasze męczarnie.

Niemcy pozbierali policjantów, którzy im nie odpowiadali, i osadzili na Majdanku. Piętnastu ich było. Porozdzielali ich po różnych blokach. Chcieli ich skryć. Oni też się nie przyznawali, że służyli w policji. Jednak więźniowie poznali ich. Łobuzy – służyli Niemcom, aresztowali Polaków i sadzali do więzień i obozów, a później sami się dostali. Dobrze im tak, niech siedzą. Patrząc na nich, przypomniałem sobie moje aresztowanie.

Było tak: z Kraśnika niejaki Małaszewicz dał mi znać przez Adamcową, żebym się miał na uwadze, bo jestem na liście przygotowanej do aresztowania. W trzy dni później widziałem, jak przyjechali Niemcy. Domyślałem się, że będą aresztowania. Nie nocowałem już w domu, bałem się, że przyjdą i po mnie. Rano poszedłem na drugą stronę, miałem stanąć na wzgórku i obserwować swój dom z daleka. Tymczasem natrafiłem na oddział Niemców, który wracał z Bystrzycy z obławy. Zatrzymano mnie, sprawdzono dowód. – Dokąd pan idzie? – pyta się komendant patrolu (Niemiec). – Do Lublina – odpowiadam. Komendant patrolu odwraca się do sołtysa Baki i pyta się: – Znacie go? – Tak jest – odpowiada. – Czy on jest na liście? – Nie – odpowiada – to o drugiego Grytę chodzi. Komendant patrolu machnął ręką i odpowiada: – Możecie iść – wykręcił się i ruszył naprzód, nie interesując się dalej mną. Przez ten czas nadszedł komendant posterunku policji granatowej z Zakrzówka, Rychliński (imienia nie pamiętam). Zatrzymał mnie i pyta: – Jak pan się nazywa? – Gryta – odpowiadam. – Czy pan ma sklep koło fryzjera? – Tak – mówię. – Pan się wróci z nami do gminy.

Polak i Polak. Sołtys mnie broni, ryzykując życiem, a komendant posterunku policji polskiej w Zakrzówku, pan Rychliński, oddaje mnie na stracenie Niemcom.

Po powrocie do Zakrzówka, już za czasów „nowej Polski”, spotykam sołtysa, który z czystym sercem wita mnie i mówi: – Nie mogłem pana obronić, myślałem, że i mnie zabiorą albo nawet zabiją, tylko jakoś się bardzo spieszyli.

Spotkałem i pana Rychlińskiego, koło studni. Szedłem wtedy z karabinem. Jak mnie zobaczył, bardzo się przestraszył. Myślał widocznie, że z mojej strony spotka go jakaś

krzywdą. Podchodzę do niego i pytam: – Czy mam zaszczyt z panem Rychlińskim?  
– Tak – odpowiada. – Panie drogi, panie kochany, niech mi pan daruje! Nie wiem, dlaczego mi się tak powiedziało. Myślałem, że się pan wytłumaczy. – Wił się jak pies i błagał o litość, podły sługa niemiecki. Uspokoilem go, że niech się nie boi, bo ja mu nic robił nie będę.  
– Dowiem się tylko, czy choć jednego człowieka uratowałeś od Niemców. Jeżeli tak, daruję ci swoją krzywdę...

\* \* \*

Thumann. Każdy mieszkaniec Majdanku znał to straszne nazwisko.

Dlaczego straszne i co ono oznaczało? Otóż na Majdanku kierownikiem działu politycznego i zarazem bezpieczeństwa był oficer SS nazwiskiem Thumann. Człowiek ten był ucieleśnieniem okrutnego zwierza hitlerowskiego. Jego nieodłącznym towarzyszem był szaro-brązowy silnie zbudowany wilczur. W czapce lekko pochylonej na prawe oko, ze szpicrutą w ręku, na motocyklu, koniu lub na piechotę, był wszędzie, jak długi i szeroki obszar obozu. Pogromca więźniów. Droga, którą szedł, była znaczone łzami cierpiących ludzi. Jeżeli udało się komuś prześlizgnąć koło niego, to jego towarzysz rzucał się na ofiarę, rwąc kawałkami ciało i ubranie.

Bronić się było niemożliwe, dlatego, że on sam, to jest Thumann, takiego śmiałka zabijał na miejscu, a w najlepszym razie bił szpicrutą i kopał nogami aż ofiara przestała dawać oznaki życia. Wtedy splunął i poszedł dalej szukać nowych ofiar. Bez niego nie było nic, ale to nic. Był tam, gdzie wieszali, rozstrzeliwali, gazowali, bili batami i przy wszelkich na większą skalę przeprowadzanych rewizjach.

Pamiętam, jednego razu idziemy na robotę koło łaźni, stoi grupa kobiet. Były bardzo lekko ubrane, mimo że na dworze był mróz i wiatr bardzo mroźny. Stały w piątkach, było im bardzo zimno. Zaczęły się kulić, przez co piątki traciły swój równy kształt. Nie wiadomo skąd wziął się Thumann. Bat jego świsnął w powietrzu i opadł na twarze biednych kobiet. Bryznęła krew z ran. Pies też robił swoje pomiędzy kobietami. Najwięcej [wśród nich] było warszawianek.

Ileż to razy kazał więźniów rzucać w basen wody, a sam z rewolweru zabijał ich.

Robiłem przy plantowaniu ziemi koło jednego z bloków, do którego przywieziono jakieś duże skrzynie, bardzo ciężkie. Użyto nas do przenoszenia ich. Nosimy. Czuję, że za naszymi

plecami jest ktoś dla nas okrutny. Oglądam się: Thumann. Bat znów był w robocie, jednego z naszych zalała krew. Thumann jakby nic, poszedł dalej, tylko pies po drodze szarpał ludzi. Po odejściu tego okrutnika obokoczyliśmy swego towarzysza, niosąc mu pomoc. Był to jeniec sowiecki, nazywał się Mikołaj Pietrakow z Kaługi. Po obmyciu krwi okazało się, że ma przecięty policzek i wybite prawe oko.

Straszny i okrutny kat, tyranizował nas okrutnie. Na jego rozkaz tysiące, tysiące ludzi gazowano, wieszano i w najokrutniejszy sposób mordowano. Wszystkie narody podbite przez Niemców miały tu swoich przedstawicieli, najwięcej zaś było Słowian i najgorzej ich traktowano.

Paczki imienne dla więźniów jeszcze nie dochodziły. Rodziny nasze, celem podtrzymania naszych sił, chciały nam przyjść z pomocą. Szukali różnych dróg, ażeby podać nam kawałek chleba lub trochę tłuszczu. Teren wewnętrzny obozu był w tym czasie pilnowany przez Litwinów. Bardzo łatwo można się z nimi było dogadać po polsku. Kobiety, wykorzystując to, płaciły im pieniądze, czy też dawały wódkę, żeby za ich pośrednictwem podać coś dla swojego najdroższego. Byli tacy, co przekazywali wszystko, a znów inni zabierali i nic nie oddawali. Różni są ludzie wśród Litwinów.

Jednego razu moja żona, ze złamaną nogą, idąc o kulach, przyniosła dla mnie kawałek chleba z mięsem. Znów jak przedtem: taczka do rąk i pod druty. – Felciu, co ci jest? – pytam. – Mam złamaną nogę – odpowiada. – Podam dla ciebie chleb i mięso, bo tak podają. – Dobrze, podaj... Siadła w rowie i poprawia coś koło chorej nogi. Podchodzi Litwin. [Żona] zaczyna z nim rozmawiać, on godzi się: Boże!, zaraz będę miał co jeść. Schodzę na dół i czekam. Litwin wziął od żony paczkę i wrzucił do rowu, żeby jej nie było widać. Poszedł dalej. Żona wstała i powoli pokuśtykała w stronę Lublina. Jak już nie było jej widać, Litwin podszedł do paczki, podniósł ją, obejrzał i schował pod płaszc. Podchodzi do drugiego żołnierza, również Litwina, wartującego w tym miejscu. Pokazuje mu, rozrywa opakowanie. Dzielą się po równo, chowają swoje połowy do kieszeni płaszczy i rozchodzą się.

Paczka stracona dla mnie na zawsze. Kobieta ze złamaną nogą, o kulach 42 kilometry niosła to dla mnie, a żołdak niemiecki, Litwin wziął ją dla siebie. Prosiłem go, żeby oddał choć kawałek chleba. Nawet słyszeć o tym nie chciał.

Podły, jak każdy Niemiec i sługa niemiecki.



Dzięki staraniom Polskiego Czerwonego Krzyża w lipcu 1943 roku komendant obozu zgodził się na dostarczanie paczek imiennych dla więźniów obozowych. Przyjęliśmy to z wielkim zadowoleniem i radością, jednocześnie obiecując sobie bardzo dużo. W pierwszy wtorek na blok przyszły dwie paczki, w piątek było już sześć i tak każdego dnia paczek przybywało. Rodziny nasze wysyłały nam wszystko i wszystko otrzymywaliśmy. Ci, co otrzymywali paczki, pomagali tym, których rodziny były daleko albo zostały wymordowane przez Niemców. Polakom, którzy paczek z domów nie otrzymywali, wysyłał PCK raz na tydzień po kilogramie chleba.

Przypominam sobie Zygmunta Dobrowolskiego z Radomia. Solidny to i morowy chłop. Kilkakrotnie proponował mi, żeby złapać Niemca, rozbroić, urwać mu łeb i w ten sposób zdobyć ubranie i broń, a później przebojem wywalczyć sobie drogę do wolności. – Wolność albo grób – powiada do mnie. Zuch! Chciał walczyć, zapominając o tym, że za to Niemcy wymordowaliby dużo niewinnych w obozie. Nie ryzykowaliśmy życiem innych. Do tego nie dopuściłem. Zygmuncie, mówiłeś, że masz matkę w Radomiu, postaram się o to, ażeby dać jej znać o tobie! Powiem jej, że byłeś na Majdanku i pamiętałeś o niej aż do samego końca.

Latem 1943 roku jeden z robotników cywilnych (nazwiska nie znam) chodził po obozie między więźniami i skrycie pytał o mnie. Jakoś trafił. Zawołał mnie do ustępu. Popatrzył na mnie i pyta: – Jak się nazywacie? – Gryta – odpowiadam. – Gdzie mieszkacie? – W Zakrzówku. – Dobrze, macie paczkę – wyciąga z nogawicy spodni kilka gazetek i oddaje mi. – Napiszcie o Majdanku. Za tydzień będzie znów poczta – wykręcił się na pięcie, wziął kawał żelaznej rury na ramię i pogwizdując sobie, poszedł. Długo stałem, oszołomiony tym, co zaszło. Obudził mnie dopiero głos towarzyszy „rumba!”, co znaczyło: brać się do roboty, ktoś idzie.

Kilka razy doszła do mnie podziemna poczta. Później został złapany i zabity przez Niemców. Cześć jego pamięci!

Przy końcu zimy 1943 roku przywieziono wielu profesorów, którzy przed wojną wykładali na różnych uniwersytetach. Razem było ich około czterdziestu. Koniec zimy, wiosna, lato, jesień i znów zima wykończyła ich prawie że całkowicie. Pozostało tylko dwóch, jeden pracował jako kierownik warsztatu stolarskiego, a drugi był pisarzem na 15 bloku trzeciego pola. Nazwisk ich nie pamiętam.

Na trzecim polu była zorganizowana orkiestra. Po apelu, jak już był zupełnie wolny czas, niektórzy blokowi i dozorczy grup roboczych zbierali się co dzień w innym bloku, urządzając

sobie pijatyki. Przy dźwiękach harmonii i skrzypek pili do utraty przytomności. W tym to czasie byłem na 15 bloku u „Janusza”. Taka zabawa, wiadomo, kosztowała dużo, nawet jak na droższą obozową, bardzo dużo. „Janusz” wymuszał od nas pieniądze przez bicie i terroryzowanie nas. Januszu, jak ty kiedyś spojrzysz w oczy swoim kolegom, którzy przetrwali twoje zwierzchnictwo? Ostatni kawałek chleba sprzedawaliśmy, aby tylko zadowolić twój zwierzęcy apetyt. Ilu przez ciebie poszło do krematorium? Biłeś grubym kijem po głowie, rękach, bokach i nogach, a jak ofiara upadała na ziemię, to puszczałeś w ruch buty, które miałeś na nogach. Iluż to ludzi zmaglowałeś? (utrata zdolności do pracy). Nie tłumacz się, bo to nic ci nie pomoże. Przypomnij sobie tego starego mężczyznę, co miał na lewym oku plamę. Spod twoich butów już więcej nie wstał. Knyps, twój pisarz, zaraz go zapisał w stan umarłych. Za blokiem w błocie mordował się do rana. Tak zdobywałeś pieniądze na wódkę.

Kąpiele. Mieliśmy kilka strasznych dla nas kąpeli. Jak już wcześniej powiedziałem, na polach było pełno ludzi. Stale przychodziły nowe transporty. Mimo mordowania na blokach, było ciasno. Thumann wydał rozkaz kąpienia nas. Na dworze dął zimny wiatr. Mróz około 10 stopni. Wyprowadzono nas za łaźnię, na plac ogrodzony drutem kolczatym, bez ciepłych palt, bez swetrów, tylko w letnich marynarkach. Grupami po stu wyprowadzano na plac przez łaźnię, kazano się rozbierać do naga, bosymi nogami stać na śniegu. Przeprowadzono kontrolę, czy kto nie ma co w butach lub pod pachami. Starsi zamarzali zaraz, silniejsi szli do łaźni. Po kąpeli wkładano buty na nogi i znów nago na plac przed łaźnię. Po każdej takiej kąpeli bardzo wielu dostawało zapalenia płuc. Dla chorych [nie było] żadnej opieki lekarskiej, więc nic dziwnego, że po takiej łaźni na polach i blokach robiło się pusto. Kąpeli takich było dużo.

Od czasu do czasu Niemcy puszczaali w ruch gaz kamerę. Wejście do niej było w łaźni. Ludzie świeżo przywiezieni, a przeznaczeni do wytrucia gazem, często nawet się nie orientowali, co z nimi robią. Skąd mogli wiedzieć, jeżeli zwyczajnie szli się kąpać, a po kąpeli niby to do ubieralni, prowadzili ich do gazkamery i koniec. Starzy więźniowie na tym już dobrze się znali. Wiedzieli, kiedy jest kąpiel, a kiedy morderstwo.

Pamiętam, było to 7 czerwca 1943 roku. Grupy robocze po obiedzie szykują się do odmarszu na robotę. Doszliśmy do bramy i stop. Brama, gdy byliśmy gotowi do odmarszu, była zwykle natychmiast otwierana, a grupy robocze jedna za drugą odchodziły.

Tym razem jednak nie. Stoimy i czekamy. Z piątego pola wyjeżdża samochód z dwoma przyczepkami. Tak w samochodzie, jak też i w przyczepkach pełno było dziewcząt od dziesięciu do dwudziestu lat. Jakiż to był straszny płacz i pisk tych dzieci, zdających sobie dokładnie sprawę z tego, co z nimi robią i gdzie, i po co je wiozą. Najtwardsze serca pękały z żalu. Samochód zatrzymał się koło łaźni. SS-mani zeskoczyli na ziemię. Jedni rozpinali boki platform, drudzy przystąpili szybko do wyładunku. Zrzucali jak drzewo, przy czym jednocześnie bili i kopali strasznie. Po opróżnieniu samochodu i przyczepek szybko zawrócili i pojechali drugi raz po taką samą liczbę ofiar. Znow taki sam płacz i krzyk, nawet znacznie większy. Ojciec jednej z dziewcząt był między nami. Córka zobaczyła go. Wyciąga ręce do ojca, wołając: – Ojczel! już na śmierć, żegnaj! Ojciec zemdłał. Zobaczył to Niemiec Miller. Wolnym krokiem, z papierosem w zębach, podszedł do zemdlonego ojca, kopnął go kilka razy w bok i najspokojniej poszedł dalej. Do rana ojciec ten już nie żył, a ciało jego odstawiono do krematorium na spalenie.

To, co wyżej opowiedziałem, w czerwcu powtórzyło się dwanaście razy. Pewnego razu zbierano małe dzieci i sadzano do samochodu, celem odwiezienia do gazkamery. SS-mani zabierali matkom z rąk ich małe dzieci, które wyciągały rączkę, płacząc. Straszny to był widok. Matki mdlały, rwały włosy z głowy. SS-mani, uśmiechnięci, robili swoją niecną robotę dalej. Nie jestem w stanie opowiedzieć ani strasznej bolesti matek, ani w ogóle wszystkich więźniów, którzy te straszne sceny widzieli. Okropności te mroziły nam krew w żyłach. Dziś, po upływie tylu miesięcy od tych okrutnych czasów niewoli niemieckiej, na samo tylko wspomnienie dreszcz zgrozy przejmuje mnie, a serce kurczy się w jakimś spazmatycznym i bolesnym skurczu.

Zwracam się do was, matki! Jeżeli pojmujecie ból tamtych matek, którym Niemiec wrywał z rąk najdroższe dzieci po to tylko, ażeby je wymordować, wychowujcie tak swoje dzieci, żeby z nich wyrosli mściciele naszej doli i mściciele niewinnie pomordowanych ofiar.

Na tym nie koniec. Przy końcu czerwca 1943 roku w powiatach biłgorajskim, zamojskim i tomaszowskim wysiedlano ludzi, a gospodarstwa ich oddawano Niemcom z Rumunii. Przywożono tych ludzi na Majdanek. Napływ tysięcy wysiedlonych napełnił bloki i pola obozu. Łaźnia poszła w ruch. Gazkamera również. Po przywiezieniu tych ludzi posortowano na trzy grupy: mężczyzn oddzielnie, kobiety oddzielnie, a dzieci zostawiono na ostatek. Każdą taką grupę po wykąpaniu i przebraniu wyprowadzano na pole. Po odprowadzeniu

kobiet i mężczyzn, przystąpiono do kąpania dzieci. Dwieście z nich zatruli gazem. Były dni, że w ten sposób mordowano do siedmiuset osób.

Pewnego razu wracamy wieczorem z roboty. Łaźnia i gazkamera są obstawione SS-manami z automatami. Wiemy, co to znaczy. Gazują albo będą gazowali. Spoglądam na pierwsze pole, otwiera się brama, a z niej wychodzą mężczyźni bez marynarek, czapek i boso. Grupa ludzi całkiem świadomych, że idą na śmierć do gazkamery. Niektórzy oglądali się dookoła, jakby starali się wszystko dobrze zapamiętać.

Jedni patrzyli na zachodzące słońce, bili się w piersi i szeptali słowa modlitwy. Byli i tacy, co szli uśmiechnięci, z dumnie podniesionymi głowami. Druga taka grupa licząca około dwieście osób stała na placu już rozebrana, czekając na swoją kolejkę.

Nazajutrz rano samochód z przyczepkami powiózł ich ciała do Lasu Krępieckiego na spalenie. W lesie układano je na stos drzewa, oblewano jakimś płynem i podpalano.

W ostatnich dniach lipca 1943 roku władze obozowe pośpiesznie przystąpiły do organizowania transportu do obozu niemieckiego w Buchenwaldzie. Do tego transportu poszli ludzie bardzo zdrowi i silni. Wybierano samych Polaków, przeważnie inteligencję. Poszli najlepsi moi koledzy: inż. Korbutiak, Walentynowicz, malarz artysta Janecki, cieśla Edek z Zakrzówka i Górecki z Bystrzycy. Jednym słowem cała masa kochanych chłopców. Transport liczył pięćset osób, 1 sierpnia wyruszył w drogę. Więźniowie byli ubrani w jasne, pasiaste ubrania, białe skarpety i buty dłubane z drewna. Poszli nasi chłopcy na marne. Byli z Pawiaka, z Zamku, Łęckiego i Łapanek. Piekło niemieckie pochłonęło ich.

Na początku stycznia 1944 roku powróciło z tego transportu czterech – reszta umarła z wycieńczenia. Pracowali w podziemnej fabryce broni – Dorze. O ich losie opowiadali mi bracia Wysoccy rodem z Warszawy, którzy byli wśród tych czterech, co stamtąd wrócili.

Mimo terroru i bardzo silnej straży więźniowie przy lada okazji starali się wyrwać z obozu. Na terenie Majdanka była grupa robocza przeznaczona specjalnie do zbierania i zmiatania śmieci na terenie wszystkich placów i ulic. W tej właśnie grupie pracował mój serdeczny przyjaciel Tokarski z Radomia. Na wolności pracował u notariusza jako sekretarz. Bardzo inteligentny i szlachetny. Poruszanie się ich na terenie zewnętrznym było nieograniczone. Więźniowie, wykorzystując to, pewnego razu we trzech upatrzyli sobie jakąś kryjówkę pod podłogą budynku, w którym kwaterowało wojsko. Na wieczór grupy robocze powracają

z roboty na apel. Na bramie sprawdzono, że brakuje trzech ludzi w grupie śmieciarzy. Odstawiają ich na bok.

Na całym Majdanku poszukiwania. Psy i SS-mani przeszukują cały teren na próżno. Zapada wieczór. Po apelu wystawiają pozostałych do bicia. Wynoszą stołek, śmieciarzy ustawiają jednego za drugim i kilku drabów niemieckich zdejmują mundury, żeby im było lepiej bić.

Rozpoczyna się od pytania: – Gdzie są tamci? Każdy odpowiada „nie wiem”. Wtedy na stołek i baty. Bito wszystkich. Tokarski dostał 140 uderzeń bardzo silnych. Plecy i tylna część ciała zamieniły się w jedną masę mięsa. Wiedział i nie powiedział. Zuch z niego. Po trzech dniach w nocy nasi chłopcy wyleźli z kryjówki. Chyłkiem posuwali się w stronę szosy. Zobaczono ich i dano ognia. Dwóch zabito, a trzeciego złapano i zaprowadzono do komendy. Nazywał się Jarosz, bardzo go bito i kopano. Co się z nim ostatecznie stało, nie wiem. Więcej go już nie widziałem.

W Lublinie grupa więźniów pracowała w mleczarniach. Pewnego razu uciekło z tej grupy roboczej dwóch ludzi, na Majdanku zrobił się wielki ruch. Pościg i poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Zwołano stolarzy do poprawienia szubienicy. Starszy dozorca Wyderko przyniósł pęk sznurów, na których miano powiesić pozostałych. Lecz później kazano się im rozebrać do naga i skakać w wodę. Thumann był w ruchu. Kazał ich nagich bić batami. Bito strasznie – kolbami, kijami, pejcami i kopano butami. Rezultat był taki, że sześciu więźniów umarło od bicia.

Bardzo głośna była ucieczka z folwarku przydzielonego do Majdanka. Grupa robocza licząca trzynaście osób, składająca się z samych Rosjan, kosiła owies. Pilnowało ich czterech SS-manów. W pewnej chwili kosiarze machnęli kosami, a cztery głowy SS-mańskie spadły na ziemię.

Uzbrojeni w cztery automaty podzielili się na dwie grupy, w jednej było sześciu, a w drugiej siedmiu. Grupa licząca siedmiu ludzi skierowała się na północny wschód do lasu, a grupa licząca sześciu na południowy wschód. Grupa większa natrafiła na zasadzkę i została wybita. Natomiast druga grupa, jak później się dowiedzieliśmy, dostała się do partyzantki i walczyła z Niemcami aż do końca.

Opowiem o bardzo dla nas wesołej ucieczce dwóch morowych lwowiaków. Nosili tragami węgiel do bunkrów. Eskortował ich jeden SS-man uzbrojony w automat. Pewnego dnia

w styczniu 1944 roku, po przyniesieniu pierwszych trag węgla, rzucili się na niego, uknęli mu łeb, rozebrali z ubrania i automatu. Tak uzbrojeni – jeden ubrał się w mundur, automat wziął na ramię i pogonił drugiego jako aresztowanego.

W miasteczku Głusk widziano ich o dziewiątej rano. Na Majdanku zauważono ich brak dopiero o dwunastej w południe. Pościg za nimi był stanowczo spóźniony. Nasi morowcy po drodze rozbroili jeszcze jednego granatowego policjanta. W ten sposób obaj uzbrojeni poszli do partyzantki. Zuchy!

Niemcy, widząc, że nawet najlepsze straże nie wystarczają do pilnowania, znacznie zaostrzyli dyscyplinę. Jednego dnia po apelu bardzo uroczyście ogłosili, że jeżeli z której grupy roboczej ktoś ucieknie, to taka grupa będzie zdziesiątkowana. Od tego dnia każdego wieczoru wieszano z naszych towarzyszy po kilku, mówiąc, że próbowali ucieczki. Głównym katem do wieszania był sławny sadysta, śląski Niemiec Wyderko. Trzeba było widzieć jego radość przy wykonywaniu wyroku.

W tym to czasie wypłynął na powierzchnię nowy, dotychczas nieznany zboczeniec Polman, który swym okrucieństwem przewyższył pierwszego. Władze obozowe zrobiły go starszym dozorcą na czwartym polu. Chodził z grubą laską i każdego napotkanego więźnia bił po głowie, mówiąc, że nie pracuje. Zarazem na wieczór po apelu podawał go do powieszenia za sabotaż albo chęć ucieczki.

Na trzecim polu był blok nr 19. Ogólnie zwano go blokiem śmierci, na ten blok brano więźniów tracących zdolność do pracy. Jak już powiedziałem, od bardzo ciężkiej pracy puchły ludziom nogi albo robili się słabi na tyle, że nie byli w stanie pracować, więc niby to na odpoczynek tam ich lokowano. Każdy brany na ten blok od razu wiedział, że już jego dni są policzone. Po zapełnieniu bloku natychmiast brano wszystkich do gazkamery, celem gazowania.

Szli w jednym szeregu – Polacy, Rosjanie, Czesi, Jugosłowianie i Żydzi. Wszyscy więźniowie będący na trzecim polu o mającym się odbyć morderstwie wiedzieli zawsze, ponieważ Niemcy w takich wypadkach wydawali dla nas zakaz przebywania na polu.

Wpędzano nas wtedy do bloku, zakazywano wyglądać szparami, żebyśmy nie widzieli, co się dzieje. Po każdym takim zarządzeniu, blok 19 na rano był pusty, a z gazkamery samochody napełnione ciałami pomordowanych odchodziły na miejsce spalania zwłok.

[By pokazać,] jak małą wartość miało życie ludzkie, przytoczę choćby jeden fakt. Pamiętam, założyli się Niemcy ze sobą o butelkę wódki, który z nich więcej więźniów powiesi na bloku 19 w ciągu pięciu minut. Rezultat był taki, że trzynastu więźniów straciło życie.

Jestem na czwartym polu. Robię znajomości z różnymi ludźmi. Warunki te same, traktowanie również. Na tym polu była koszykarnia, w której wyrabiano koszyki na pociski armatnie. Przy koszykach robiły kobiety i mężczyźni. Ogółem pracowało około sześćset osób. Było to w niedzielę po robocie. Chodzimy sobie po placu z Lucjanem Bieńką i dyskutujemy nad ostatnimi wiadomościami politycznymi. Młode dziewczęta pracujące w koszykarni ustawiły się parami i śpiewając piosenki wojskowe ruszyły na przechadzkę. Śpiewały najpierw po cichu, później coraz głośniej, aż w końcu pełną piersią oddawały nasze pieśni narodowe. Echo ich głosów szło po całym Majdanku. *Jeszcze Polska nie zginęła* i *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród* wypadły na ostatku. Polskie dziewczyny – bohaterki narodowe – podnosiły ducha w nas, choć same za to były zabijane. Które przetrzymały, niech żyją długo, długo, a umarłym pod batami – niech polska ziemia lekką będzie.

3 listopada 1943 roku dla więźniów Majdanka pozostanie na zawsze w pamięci. Było jeszcze ciemno. Apel już się skończył, czekamy tylko na rozkaz formowania grup roboczych. Koło mnie stał Antoni Chojnicki z Radomia. W pewnym momencie zwraca się do mnie i mówi: – Patrz, idą samochody z wojskiem. Samochody widziałem, ale wojska dostrzec nie mogłem, ponieważ było daleko i ciemno. Między więźniami zrobił się szmer. Nie wiem skąd, wszyscy więźniowie wiedzieli, że cały obóz jest mocno obstawiony wojskiem. Domyślaliśmy się, że będzie coś strasznego. [Kiedy] ciemność nocy powoli ustąpiła, a dokoła nas można było rozpoznać otaczające przedmioty, oczom naszym przedstawił się straszny widok. Teren ścisły był mocno obstawiony karabinami maszynowymi.

Zrobił się wielki ruch. Na piątym polu w tym czasie był umieszczony szpital obozowy, przeznaczony wyłącznie do leczenia więźniów. Poza tym byli [tam] umieszczeni więźniowie pracujący w warsztatach i magazynach obozowych. Wszystko, co było na piątym polu, z błyskawiczną szybkością zostało przerzucone na trzecie i czwarte pole. Obsadzenie piątego pola przez wojsko i żandarmerię było specjalnie silne. Środkiem zrobiono szpaler żandarmerii w hełmach, z bagnetami na karabinach. W jednej ręce trzymali karabin, a w drugiej granaty gotowe do rzutu.



W tym samym czasie na piątym polu, na słupie od szubienicy, zakładano duży głośnik radiowy. Jednocześnie rozkazano wszystkim więźniom narodowości żydowskiej na wszystkich polach iść pod kancelarię i ustawić się piątkami gotowymi do odmarszu. Naprężenie nerwów było bardzo mocne. Domyślaliśmy się, że będzie wielkie morderstwo.

Głośnik zaczął grać walce. Kolumny Żydów ruszyły w kierunku piątego pola. Nim zaczęę mówić o rozgrywającym się mordzie, muszę powiedzieć, że kilka dni wcześniej w przyspieszonym tempie kopano głębokie rowy o kształcie zygzakowatym, przypominającym okopy strzeleckie. Cel kopania rowów do ostatniej chwili nie był nam znany. Ogólnie myślano, że przeznaczeniem ich było ułatwienie sobie obrony przed możliwością ataku ze strony partyzantki polskiej. Wracajmy jednak do rzeczy.

W momencie, gdy z głośnika zaczęły płynąć melodie walca, pierwsze kolumny Żydów ruszyły do budynku specjalnie przeznaczonego na rozbieranie się z ubrania i butów. Z tego budynku w białiznie pędzono ich do wyżej omówionych rowów i tam stojący w górze Niemcy za pomocą automatów prowadzili na wielką skalę morderstwo. Tak rozpoczął się masowy mord Żydów w obozie na Majdanku. Zaczęło się rano przed wschodem słońca, a skończyło się wieczorem, już po zachodzie. Najpierw pędzono mężczyzn, kobiety i dzieci majdankowe. Później szły długie kolumny od Lublina i Piasków Luterskich. Tak zorganizowali, że żadnych przerw w mordowaniu nie było. Głos strzałów był zagłuszony dźwiękami walca płynącymi z głośnika, głosu tych ludzi również nie słyszeliśmy. Jednak doskonale widzieliśmy, jak machali rękami albo łamali ręce z rozpacz i przerażenia. Staliśmy bezradni, patrząc na te zbrodnie. Zaciskając pięści, przysięgaliśmy sobie wzajemnie, że będziemy się bronić do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchu w piersiach. Zginiemy – wiadomo – inaczej nie może być, ale może choć kilku i z nich.

Żydzi szli bez żadnych odruchów i walki.

Na wieczór skończyli się Żydzi i doły zostały zapełnione. Przed odejściem Niemców na odpoczynek, ciała wymordowanych ofiar zostały lekko przyprószone piachem. Tak się skończył dzień 3 listopada 1943 roku.

W obozie koncentracyjnym na Majdanku dwadzieścia tysięcy ludzi w najokrutniejszy sposób zostało zamordowanych. Całą noc brzmiały nam echa pogrzebowego walca. Spodziewaliśmy się, że rano będzie znów to samo, ale już nie z Żydami, bo ich nie było. Ciała ich później częściowo palono w dołach, a częściowo w krematorium.

Jesień coraz bardziej dawała nam się we znaki. Lekko poubierani, drżeliśmy od zimna. Mimo zbliżania się frontu nadzieja nasza wydostania się stąd przed nadejściem zimy i mrozów była słaba. Ręce od zimna zaczęły nam puchnąć, słabsi już mieli rany na palcach. Na robotę i z roboty szliśmy jak cienie. Nie byli to już ludzie, ale jak bezduszne postacie nieznające wartości życia, każdemu chciało się już umrzeć, żeby skończyły się te straszne męczarnie. Jak z nieba – powiadam, jak z nieba – zjawia się bardzo wielka Pomoc Czerwonego Krzyża w Lublinie. Dwa razy w tygodniu przywożą i oddają nam: chleb, cukier, tłuszcz, bułki z masłem i z miodem, gorącą zupę. Dla szpitala obozowego lekarstwa i mleko przeznaczone specjalnie dla chorych.

Było to bardzo wiele, bo to nam dawało pokarm tak bardzo potrzebny naszemu ciału. We wtorki i piątki każdego tygodnia wyglądaliśmy pani na czarno ubranej, która była delegowana przez PCK w Lublinie, celem przetransportowania kilku wozów prowiantu przeznaczonego dla nas. Polski Czerwony Krzyż z panią Orłowską na czele nie tylko dawał nam pokarm w postaci chleba i innych artykułów spożywczych, ale i pokarm duchowy, którego nam tak bardzo brakowało.

Życie nasze zaczęło nabierać wartości. Dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy sami. PCK w Lublinie przez te właśnie dary dla nas zademonstrował serce całego narodu polskiego. Brak mi słów, żeby za to podziękować. Nie jestem w stanie choćby jednego słowa podziękowania wypowiedzieć, mogę tylko zapewnić, że jak naród polski bolał nad naszym losem, a serce jego było z nami, tak i my żyliśmy duszą waszą. To pozwoliło nam przetrwać i przetrwaliśmy.

Pierwszy śnieg i pierwszy mróz zastał nas przy robotach ziemnych. Władze obozowe zaczęły likwidować grupy robocze przy planowaniu placów. Każdy z nas oglądał się za tym, żeby dostać się do roboty gdzieś pod dach. Obaj z Bieńkiem robiliśmy starania o wejście na robotę do koszykarni. Na próżno – dostać się tam było dla nas za trudno. Przy pomocy dozorczy grupy roboczej nazwiskiem Wrona, dostałem się do warsztatu szewskiego. W budynku opalonym reperowaliśmy buty dla wojskowych. Towarzystwo jak zwykle dobre. Humory różowe. Dobrze – mówimy – zimę jakoś przeżyjemy. Z Bieńkiem siedliśmy koło siebie. Po lewej stronie miałem sąsiada, który siedział już trzy lata w obozach niemieckich. Nazywał się Jan Słodki. Na wprost mnie, po drugiej stronie warsztatu, siedział bardzo miły i zarazem bojowy Stanisław Idzikowski z Białegostoku. Na samym rogu siedział ks. Budzyński.

Może by nam tam było i dobrze, gdyby nie szef magazynu, sierżant niemiecki Isweigel [Vogel?]. Łotr wielki. Za najmniejsze przewinienie bił nas i katował. Byliśmy bardzo mocno zorganizowani, więc wspólnymi siłami pomagaliśmy sobie. Mój najlepszy przyjaciel Bieńko jakoś przeprowadził list swojej żony do Warszawy. W liście tym prosił ją, żeby zawiadomiła nasze rodziny, że my jeszcze żyjemy i jesteśmy zdrowi. Dla nas i dla naszych rodzin była to bardzo wielka przysługa. Później dowiedziałem się, że list taki żona moja otrzymała.

Rzemieślników w obozie uważali Niemcy niby to za coś lepszego. To lepsze wyrażało się tym, że takie grupy miały dostawać lepsze ubranie i skórzane buty zamiast drewnianych. Tak było w teorii. Natomiast w praktyce było inaczej. Zabrano nas raz do magazynu i zamieniono ubrania na wcale nie lepsze od poprzednich. Z butami było jeszcze gorzej, ponieważ dawali takie, jakie wpadły do rąk. Stanisław Idzikowski dostał dwa buty z jednej nogi. O zamianie nie było mowy, chodził więc tak kilka miesięcy.

Zima tym razem była już na dobre. W obozie mówiono stale o jakimś dużym transporcie do Niemiec. Front ciągle się zbliżał. Zaniepokojenie wśród wojskowych wzrastało. SS-manki i SS-mani mieli spakowane manatki. Pisarze z głównej kancelarii obozowej mówili, że sprawdza się akta każdego więźnia. Spodziewaliśmy się jakichś posunięć ze strony władz niemieckich.

Święta Bożego Narodzenia były już za pasem. Każdy z nas robił przygotowania. Z domu zaczęły napływać świąteczne paczki. Żona moja nie zapomniała o mnie i teraz. W paczce miałem kawałek kiełbasy, trochę ciasta i malutką buteleczkę wódki.

Na blok przywieziono choinkę. Nie wiem, skąd zdobyto kolorowego papieru i robotę przygotowawczą puszczono w pełny ruch. W wieczór wigilijny „Janusz” wygłosił mowę, płacząc zarazem nad naszym losem. Mówił: – Nas nie wymordują tak jak Żydów, nas pomszczą nasi bracia na wolności! Z każdym podzielił się opłatkiem i zrobił się chłop dobry jak lato. Zaśpiewaliśmy *Jeszcze Polska nie zginęła* i *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...* Po uroczystości rozeszliśmy się do swoich łóżek. Obaj z Bieńkiem wleźliśmy na górne łóżko i drugi raz połamaliśmy się opłatkiem. Wypiliśmy moją wódkę, zjedliśmy kiełbasę i ciasto. I spać.

Na drugi dzień rano po wypiciu gorzkiej kawy zrobiono zbiórkę na placu. Kazano nam zdjąć czapki i tak staliśmy do samego wieczora. Komendant pola zebrał wszystkich blokowych

i zrobił im karne ćwiczenia. Po ćwiczeniach w „Januszu” znów odżył zwierz w ludzkim ciele. Pierwszego napotkanego więźnia zbił i skopał bardzo. Pobity więzień kilka tygodni skarżył się, że go bok boli.

Życie w obozie płynęło nam dalej, bez żadnych zmian specjalnych. Jednych przyprowadzano z wolności, drudzy umierali albo byli zabijani. Krematorium dymiło dniem i nocą, a zapach spalonych ciał rozchodził się daleko. Dokąd na dworze było zimno, czas wolny od pracy spędzaliśmy na blokach, dyskutując na tematy polityczne. Powoli dzień stawał się coraz dłuższy. Na dworze robiło się cieplej, ptaszęta śpiewały o wiosnie. Co dzień nasłuchiwaaliśmy głosu armat. Nadzieja nasza z każdym dniem wzrastała i dawała nam pewność, że Armia Czerwona wkrótce rozprawi się z naszymi oprawcami.

Przyszła znów Wielkanoc. Paczek z domu już dla nas nie było, za to PCK przysłał nam tyle, żeby starczyło na całe święta. Jajka bez żadnego uroczystego dzielenia się zjedliśmy w czwartek. Cały dzień pierwszego dnia świąt byliśmy w pracy.

Różnice narodowościowe między więźniami znikły prawie że całkowicie. Wyodrębniali się tylko więźniowie Niemcy. Skład mieszaniny narodów był następujący: Francuzów 127, Włochów 93, Rosjan 4,5 tys., Belgów 9, Holendrów 7, Luksemburczyków 2, Norwegów 5 i 1 Estończyk. Polaków wówczas było 11,8 tys., a Żydów 468. W tej całej mieszaninie narodów miałem dużo przyjaciół. Dla upamiętnienia niektórych moich przyjaciół podam ich nazwiska, żeby w ten sposób ich rodziny wiedziały, że żyli oni w tym czasie i byli na Majdanku:

Władysław Czarnecki i Piotr, bardzo miły i kochany chłopiec, którego nazwiska nie pamiętam (jak zobaczył, że zapisuję ważniejsze wydarzenia, podarował mi zeszyt i wieczne pióro). Obaj pracowali w magazynie. Więzieni byli za to, że nie chcieli przyjąć volksdeutscherstwa, pochodzili z Bytomia. Aresztowano ich 30 września 1939 r.

Zawsze wesoły Ziółek z Końskowoli, Kosiński spod Opola Lubelskiego.

Nigdy na pewno nie zapomnę profesora uniwersytetu w Brukseli Józefa, który wydawał gazetę obozową w języku francuskim. Był synem siostry francuskiego generała de Gaulle. Jędrasik z Bratysławy, oficer armii czeskiej; bił się z Niemcami w Czechach, w Polsce, a w końcu jako kapitan sowiecki – ranny – dostał się do niewoli niemieckiej. Było dużo Czechów, którzy trzymali się gromady, co ułatwiało im przetrwanie.

Przypominam sobie jednego Rosjanina, zwanego w obozie politrukiem. Zuch to chłop, lubiano go bardzo i powszechnie szanowano. Zamordowali go Niemcy za to, że prowadził wśród więźniów akcję uświadamiającą.

Na froncie Niemcom powodziło się coraz gorzej. Z obozu wywożono wszystko, co tylko wywieźć było można. Wywożono maszyny z warsztatów, ubrania co lepsze, obuwie, materiały budowlane itp.

Z tych właśnie wszystkich ruchów wiedzieliśmy, że to prowadzi ich do upadku. Stawialiśmy sobie pytanie – co zrobimy z nami? Czy nas wybiją, powiozą lub pogonią przed sobą?

Przyszedł dzień 22 lipca 1944 roku. Zaraz rano kazano nam pakować wszystko, co jeszcze było zdatne do zapakowania i jednocześnie przygotowywać się do podróży. Samoloty sowieckie od samego rana bez przerwy unosiły się nad Lublinem. Walki powietrzne stawały się coraz bardziej zażarte. O godzinie jedenastej droga na Warszawę została przerwana. Wśród Niemców powstała panika, nie wiedzieli, co z nami i ze sobą robić. O dwunastej przerwano pakowanie rzeczy i rozpoczęto formowanie nas do wymarszu na piechotę. Słońce chyliło się ku zachodowi, a my staliśmy jeszcze na placu, przygotowani do odmarszu. Długo nie mogli się zdecydować, co z nami zrobić. Droga odwrotu zamknięta. Stwierdzili, że pozostała jeszcze wolna droga do odwrotu w kierunku południowym. Od Bronowic odezwał się karabin maszynowy. Padł rozkaz wymarszu. Czerwona zorza szeroko rozlała się po niebie. Mieszkańcy Lublina skryli się w domach. Silne detonacje i wysokie słupy dymów mówiły o klęsce Niemiec i zwycięskim pochodzie wojsk sowieckich. Oblicze wojny zmieniło się.

Ruszyliśmy w niewiadome. Przez pola i lasy znów obok siebie Polacy, Francuzi, Czesi, Włosi, Rosjanie, Belgowie, Holendrzy i Żydzi – szliśmy na stracenie. Od strony zachodniej nadciągały ciemne chmury. Spadły pierwsze krople deszczu. Przez Wrotków, Zęborzyce, Las Krężnicki i jakieś pola, dostaliśmy się do wsi Trzaskowice. Chłopcy nasi, korzystając z ciemności nocy, rzucali się do ucieczki. Automaty SS-mańskie pracowały. Trup gęsto padał. Obok mnie szedł Idzikowski z Białegostoku. Błyskawicznie rzucił się w bok. Spostrzegli to, ale już było za późno, żeby go można było złapać.

Puszczono w ruch automaty. Stanisławie! Widziałem cię, jakeś uciekał, widziałem, jak podrywałeś się i padałeś. Z napięciem nerwów patrzyłem na ciebie. Ile razy padłeś,

zawsze myślałem, że już więcej nie wstaniesz. W końcu ciemność nocy okryła cię. Teraz wiem, że żyjesz i mieszkasz w Białymstoku. W tych kartoflach, przez które biegłeś, zabili sześciu.

Szliśmy całą noc i cały dzień, deszcz lał bez przerwy. Cała droga była znaczone trupami. Ostatnich, którzy nie mieli już siły iść dalej, zabijano i spychano do rowów przydrożnych. Przemoczeni, zziębnięci i głodni, dowlekliśmy się do Kraśnika. Ulokowano nas na noc na piecu w cegielni u Pludra. Ludność Kraśnika, a szczególnie kobiety, zjawiły się pomiędzy nami i częstowały nas chlebem i innymi dla nas smakołykami.

Podchodzi do mnie jakaś kobieta i pyta mnie, czy jestem Polakiem. Odpowiadam, że tak. Podarowała mi paczkę, w której był chleb z masłem i trzy kotlety. Serdecznie jej za to podziękowałem i niby to po wodę, poszedłem szukać drogi do wolności. Widziałem, jak kobiety przynosiły ubrania cywilne dla więźniów, żeby – przebrani – mogli wydostać się poza kordon otaczających nas posterunków. (Zapomniałem powiedzieć, że wszyscy byliśmy ubrani w ubrania więzienne). Dużo naszych chłopców korzystało z tego i są dziś na wolności.

Cześć wam, kraśniczanki. Odwaga i poświęcenie wasze były bardzo wielkie. Egzamin zdałyście. Jesteście bohaterkami narodowymi. Ja sam z ubrania nie skorzystałem, ale ukryłem się w cegle i tak zamurowany przesiedziałem do rana. Na drugi dzień, już po odmarszu transportu, wylazłem z cegieł. Jakiś chłopiec z Kraśnika przebrał mnie w ubranie cywilne. Może kiedyś będę miał możliwość podziękować mu. Za cztery dni byłem w domu.

Jak już na początku powiedziałem, Niemcy na przestrzeni wieków byli i są obecnie narodem zbirów i morderców. Historia Słowian jest utkana jednym pasmem krwi i wiecznej walki z posuwającym się na wschód germanizmem. Niemcy, nie przebierając w środkach walki, niszczyli wszystko, cokolwiek stawało na przeszkodzie ich pochodowi na odwieczne ziemie słowiańskie. Narody słowiańskie mieszkające nad Odrą i Wartą ginęły nieraz całkowicie. Walka między Germanami a Słowianami będzie trwać tak długo, aż ludy słowiańskie stworzą wielką unię wszechsłowiańską, która da potężną siłę do natychmiastowego zgniecenia ich planów morderczych i grabieżczych. Słowianie naród młody, bardzo żywotny i szlachetny, zahartowany w walkach o swoją ziemię, wiarę i obyczaj, nigdy nie zaprzestanie rozpoczętej wojny, aż ostatecznie pomści odwieczne krzywdy.



Pola Majdanków, Oświęcimów i innych zlane krwią naszych braci Słowian muszą być pomśczone. Niewinnie przelana krew będzie kolorem naszego sztandaru bojowego, pod którym pójdziemy w bój po ostateczne zwycięstwo.

Marcin Gryta